



Mirosław Derecki

DUCHY

Kiedy byłem bardzo młody, lubiłem siadać przy kominku i wpatrywać się w mego brata. Patrzył w ogień i w zadumie ssał flet. Kiedyś, kiedy amplituda ssania osiągnęła najwyższą wartość, wstałem i wyszedłem na balkon. Wisiała tam długa tasiemka od gorsetu. Legenda głosiła, że tasiemką tą babka moja biczowała trzech sprośnych zakonników, którzy zgrzeszyli z nią przeciw czystości. Zamknęła ich później w spiżarni zamiast myszy, gdzie obżerali się niesamowicie, ale za to musieli się ciągle modlić o jej zbawienie. Jeśli choć trochę zaniedbali się, zaraz sprawiała im lanie. Po tej tasiemce spuściłem się na podwórzec zamkowy. Na środku, pod czerwoną latarnią siedział pies. Nosił dźwięczne imię Kryptorchismus. Był wnętrzem, to znaczy miał jądra nie na miejscu, co psom zasadniczo zdarza się bardzo rzadko. Nie bałem się go, tym bardziej, że właściwie to nie był pies, tylko mój brat. Widocznie zmyliło mnie to, że ssał flet z drugiego końca. Powiedział, że musi tak i tak żeby wiedzieć jak lepiej. Zamek był naszą własnością. Tak powiedział brat. Strasznie się ucieszyłem. Tym bardziej, że był to Wawel. Wawel miał mocne fundamenty. Front jego stanowiły stare, zarysowane trochę mury z mnóstwem wieżyczek i wykuszy. Tył był jednym z bloków osiedla ZOR – Bronowice. Podobno kiedyś mieszkała tam czarna księżniczka. Brat był przez dłuższy czas niezdecydowany, ale później possał trochę flet i natychmiast zorientował się, która część bardziej mu odpowiada. I przy tym już pozostał. Weszliśmy do wnętrza. Nigdy nie mogę sobie przypomnieć jak wyglądało. Pierwszy obraz jast zamglony. Widzę tam piękną komnatę, w której koniecznie stoi fortepian Chopina. Na fortepianie obowiązkowo leży George Sand. Natomiast bardziej prawdopodobna wydaje mi się druga wersja. Otóż chodziliśmy z bratem – ssakiem po opuszczonych komnatach pełnych kurzu i nieco zrujnowanych. W ostatniej natknęliśmy się na starego desperado. Pilnował on zamku a jednocześnie z nudów deprawował kanarki. W chwilach wilnych doprowadzał do porządku pokoje na wypadek turystów, od których kapnęłoby nam trochę grosza, Stary siedział właśnie na kupie węgla i diabelnie się nudził. Poprosił, abyśmy jakoś uatrakcyjnili zamek, co wyjdzie na dobre jemu i nam. O ile pamiętam – brat przyznał mu rację i zaczął tym razem dmuchać w flet. Widziałem go zawsze ssącego, więc przyglądałem się z ciekawością. Z fletu zaczęła powoli wydobywać się biała, falująca, półpłynna masa. Była to ektoplazma. Nigdy nie dowiedziałem się, czy ektoplazma wydobywała się poprzez flet z brata, czy

z samego fletu. Ektoplazmy przybywało i przybywało. Wypełniła cały pokój, ogarnęła starego desperado wraz z kanarkami aż wreszcie znikła zupełnie. Duchy bowiem składające się na nią wyzwoliły się i rozbiegły po całym zamku. Pomysł z duchami był dla nas bardzo korzystny (turyści). A prócz tego desperado miał z duchów wiele radości, chociaż początkowo czuł się trochę nieswojo. Bardzo je polubił. Czyniły mu wiele psot, chcąc go nastraszyć, staruszek jednak uśmiechał się tylko pobłaźliwie. Nawey wtedy, kiedy nocą, o dwunastej godzinie, odwijają kołdrę i posypywały mu nogi proszkiem do prania.

Tak skończyła się ta dziwna historia. Brat w kilka lat później zmarł. Do końca życia jednak ssał swój flet i razem z nim został pochowany. I na pewno jest teraz szczęśliwy.

Pierwodruk: „Kamena”, 1958, nr 3-4, s. 10.